

SPIS TREŚCI
OD WYDAWCY
OD TŁUMACZA
STARE MIASTO
W DRODZE
ŻYDZI
NA WOLNOŚCI
NA OBCEJ ZIEMI
PROFESOR ARKADY GRICHENDLER
W CHEDERZE
MAMA
W UPALNE DNI
KREW
LUK
OD WYDAWCY

Decyzja o wydaniu zbioru opowiadań Izraela Joszuy Singera jest kontynuacją idei, która przyświecała nam, gdy publikowaliśmy *Taniec demonów* oraz *Rodowód Ester Singer Kreitman*, starszej siostry pisarza. Idea ta to odkrywanie przed polskim Czytelnikiem zapomnianych lub nieznanymi pisarzy i ich dzieł, które nie powstały w języku polskim, ale stanowią spuściznę wieloetnicznej, wielokulturowej, a więc i wielojęzycznej dawnej Rzeczypospolitej. Dawnej, ale nie tylko tej sprzed wieków, gdyż taka różnorodność cechowała też Polskę międzywojenną. Utalentowane literacko, tworzące wyłącznie w jidysz rodzeństwo Singerów – Ester, Izrael i Izaak – sporą część życia spędziło poza Polską, ale o każdym z nich można powiedzieć to, co znalazło się w przedmowie do *Rodowodu* w odniesieniu do twórczości Ester: „To przecież w Polsce wszystko się zaczęło”.

Jako polski wydawca uważamy, że rzeczą niezwykle ważną jest potrzeba, a nawet swoisty nakaz pokazywania, że Polska była przede wszystkim obszarem, na którym Żydzi żyli przez wieki i byli częścią polskiego społeczeństwa. Jest to najlepszy sposób na przeciwstawianie się wizji Polski wyłącznie jako grobu milionów Żydów zamordowanych w czasie Holokaustu, wizji, która i w Polsce jest szeroko rozpowszechniona.

Ze spuścizny Izraela Joszuy Singera po polsku wydano dotąd tylko trzy powieści oraz drukowane w czasopiśmie fragmenty wspomnień i reportaży, a zatem rzeczą oczywistą była decyzja o publikacji jego opowiadań. W porozumieniu z autorem przekładu wybór padł na zbiór opowiadań *Na obcej ziemi*. Ten wydany w 1925 r. w Wilnie tom jest dziełem młodego jeszcze, ale mającego już ugruntowaną pozycję autora, zauważonego również za oceanem, co zaowocowało m.in. współpracą z najważniejszym żydowskim pismem w Stanach Zjednoczonych, „*Forverts*”, którego stał się współpracownikiem.

Opowiadania zebrane w tomie *Na obcej ziemi* są bardzo zróżnicowane, zarówno pod względem podejmowanej tematyki, jak i zastosowanych przez autora środków wyrazu. Ich akcja toczy się na ziemiach polskich, ale też w ogarniętej rewolucją i wojną domową Rosji. Najbardziej uderzającą cechą opowiadań jest to, że I. J. Singer wychodzi w nich poza

symboliczne getto żydowskie, co stanowi ewenement w ówczesnej literaturze jidysz. Równoprawnymi bohaterami są Żydzi, Polacy, Rosjanie, religijni i niereligijni, ale i tacy, którzy są po prostu ludźmi, bez przypisywania ich do którejś z tych grup. W jednym z opowiadań bohaterem jest... pies.

Wśród niezaprzeczalnych walorów pisarstwa I. J. Singera należy podkreślić doskonale prowadzoną narrację i często zaskakujące, nieoczywiste zakończenie opowiadań. Ich lektura tak wciąga, że trudno się od nich oderwać. Wyrażamy nadzieję, że tę naszą opinię podzielą Czytelnicy.

OD TŁUMACZA

Najlepszym przekładem jest taki, w którym nie zauważa się obecności tłumacza. Jako autor przekładu ujawnię się jednak, by podzielić się z Czytelnikami kilkoma uwagami.

Zarówno sam autor, Izrael Jozua Singer, jak i spora część jego bohaterów to Żydzi, osoby noszące w większości tradycyjne żydowskie imiona. Mimo wielowiekowej ich obecności na ziemiach polskich nie wytworzyła się przestrzegana przez wszystkich zasada oddawania tych imion (ale i nazwisk) w języku polskim. Trudność wynika nie tylko z odmienności wymowy, ale i z zapisu – jidysz używa alfabetu hebrajskiego i część imion ma zapis spółgłoskowy, a nie fonetyczny.

Problem zaczyna się już w przypadku samego autora. Wspólnie z wydawnictwem zdecydowaliśmy się na formę: Izrael Jozua Singer. Pisownia nazwiska wydaje się oczywista, bo taka się przyjęła, chociaż nie oddaje wymowy w jidysz. Zgodną z wymową znajdujemy na odwrocie strony tytułowej oryginalnego wydania Na obcej ziemi, gdzie zapisane alfabetem łacińskim nazwisko pisarza brzmi Zynger. Gorzej jest z imieniem, w odniesieniu do którego panuje duża różnorodność, co widać np. na stronach tytułowych trzech powieści I. J. Singera wydanych po polsku. Ten sam autor pojawia się tam jako Izrael Jozua, Israel Joshua oraz Izrael Jozue. Można jeszcze dodać dość rozpowszechnioną formę Izrael Jehoszua. Ale nawet jeśli odrzucimy ewidentny nieuzasadniony anglicyzm (Joshua), to i tak pozostanie kilka wersji.

W kwestii imion bohaterów, tłumacząc, uznałem za najwłaściwszą formę odpowiadającą w przybliżeniu wymowie w jidysz, z zastosowaniem zapisu fonetycznego. Takie rozwiązanie jest zgodne z polską normą językową w odniesieniu do imion i nazwisk zapisywanych w oryginale innym niż nasz alfabetem. Polonizacji dokonałem jednak w przypadku imienia jednego z bohaterów – w opowiadaniu Krew ta sama osoba występuje jako Dawid i Dawidl. Druga z tych wersji to nieczytelne dla polskiego czytelnika zdrobnienie, a zatem dla oddania intencji autora użyłem polskiego zdrobnienia Dawidek.

W odniesieniu do żydowskich nazwisk bohaterów przyjąłem zasadę zapisu fonetycznego; uważam za zupełnie bezzasadne spotykane niekiedy zapisywanie tych nazwisk zgodnie z regułami języka niemieckiego. Jeśli chodzi o imiona i nazwiska polskie przyjąłem ich najbardziej prawdopodobną czy wręcz oczywistą wersję polską (np. Gęsty, a nie Gensty).

Problemem nie do rozwiązania jest oddanie wtrętów polskich w tekście oryginału – wstawka po polsku w dialogu niestety ginie w przekładzie na język polski.

I sprawa ostatnia, która wydaje się problemem zarówno dla tłumacza, jak i czytelnika, czyli przypisy. Pojawiające się specyficzne dla świata Żydów terminy niezrozumiałe dla polskiego czytelnika wymagają wyjaśnienia. Nadmiar przypisów utrudnia jednak lekturę i czyni ją niekomfortową. By tego uniknąć, wszędzie tam, gdzie można było to uczynić bez szkody dla tekstu, wyjaśnienie wplotłem w tekst. Podobnie uczyniłem z fragmentami modlitw – choć

w oryginale są one po hebrajsku bez tłumaczenia na jidysz, zachowując tekst hebrajski, dawałem także przekład polski.

Krzysztof Modelski

STARE MIASTO

I

Fabian Rajces ściąga z głowy pstrokatą, kolorową kołdrę. Rozsuwa zasłony w oknie, wpuszczając trochę bladego porannego światła wprost na pościel.

Wszystkie kanarki w pokoju równocześnie zaczynają śpiewać. Już wcześniej, czując nadchodzący dzień, jeden po drugim próbowały treli, ale nie widząc wokół siebie światła, przerywały – nagle, nieco chrypiąc, jakby czuły się zawstydzone same przed sobą. Teraz dzień zagląda już przez okno i, wpadając przez górną szybę, rozświetla pokój, ścieląc się do połowy podłogi. Widząc to kanarki śpiewają wszystkie naraz, zupełnie jakby modliły się do porannego światła.

Fabian wkłada szeroki porannik w kratę, wsuwa kaukaskie zamszowe laczki z wyhaftowanymi srebrnymi liśćmi, wystawia przez otwarte okno rozczochraną głowę i głośno ziewa wprost na poranną ulicę.

Na koślawych, wyboistych uliczkach Mariensztatu jest cicho.

Znad rozlewającej się Wisły, w której ulica myje swe kamienne stopnie, nadciąga wilgotna mgła i przykleja się do przejrzystych szyb okien i ceglastoczerwonych dachów. Ćwierkające ptaki wznoszą się zygzakami w powietrzu i szukają przykościelnych figur oraz oberwanych rynien. Gdzieś z oddali, z fabryk, dobiega wycie syren, uderzenia, zgrzyty, odgłosy rdzewiejącego żelaza i pracy. Fabian obserwuje ptaki, ale gdy ćwierkanie przechodzi we wrzask, płoszy je, klaszcząc kilka razy w dłonie, po czym krzyczy w stronę chodnika pod oknem:

– Dziaduniu, już dzień, dziaduniu!

Przy krzywej latarni gazowej, coraz bledszej, ale jeszcze świecącej w szarości poranka, porusza się coś skulonego i rozwija się powoli w zgarbioną, pochyloną postać. Na chwilę zamiera w zamyśleniu, jakby nie wierząc, że wokół już jest dzień, ale zaraz przeciera parę razy oczy, uderza laską o kamienny bruk na znak, że żyje i na cały głos ziewa:

– Aaaaaa... aaaaa!

Fabian Rajces głośno się śmieje:

– Ha, ha, ha... Obudził się dziadunio, co?

„Dziadunio” prostuje się, odkrywa głowę, ukazując białe, zmierzwione włosy i bezzębne usta:

– Znów węszyli, psiejuchy, całą noc się kręcili...

Fabian wybucha śmiechem.

Każdego ranka, gdy budzi starego stróża nocnego, słyszy tę samą śpiewkę. Stary za nic nie przyzna się, że uciał sobie drzemkę. Jest przekonany, że czatuje na złodziei, na „psiejuchy”. Zasadza się na nich tak jak wilk, który udaje martwego, ale gdy inne z watahy zrobią już całą robotę, nagle pokazuje się, wyrasta jak spod ziemi.

Fabian kiwa głową:

– Czas iść na piec, dziadku... Najwyższy czas...

Stary stuka laską o bruk, co znaczy, że pilnuje, i bezzębными ustami złorzeczy:

– Kręca się wszędzie, psiejuchy, węższą...

*

Fabian Rajces bierze swego kudłatego psa Pudła na kolana, przeciera mu zaspane oczy i rozczesuje obfitą, gęstą grzywę. Robi to każdego ranka.

Pudel warczy. Nie lubi, jak mu się szuka pcheł w grzywie. Wolałby teraz wykulać się na tygryziej skórze rozciągniętej na podłodze albo zmierzyć swe siły w starciu z syberyjskim kotem Baltazarem. Wie jednak, że pan nie da mu jeść, jeśli wcześniej nie zrobi mu porannej toalety. Siedzi więc posłusznie na pańskich kolanach i znudzony przymyka oczy. W chwili jednak, gdy czuje, że wywija mu się delikatne uszy na lewą stronę, nie może już wytrzymać i cienko skomli jak szczeniak. Fabian pociąga go za ucho i straszy:

– Leż, bo nie dam ci cukru!

Pudel kuli się i leży tak cicho i spokojnie, że nie ruszyłby się nawet, żeby chapnąć muchę, gdyby usiadła mu na nosie. Dygocze mu brzuch, drży tylna łapa, a w środku wszystko mu się gotuje.

– Wrrrr...

Fabian czyści mu uszy w środku, obciera wilgotny nos i wsłuchuje się w zachrypnięte głosy wołające go z innego pokoju:

– Panie Fabianie! Paaaanie Fabiaaaaanieeee!

Fabian nie odpowiada.

To wołają go papugizymane w klatkach w innym pokoju. Codziennie rano budzą go, choć już dawno wstał. Zdzierają sobie gardła tak, że można ogłuchnąć, ale Fabian się nie odzywa.

Jest na nie zły.

Wszystkie swoje zwierzęta nauczył utrzymywania czystości. Pudel zachowuje się jak należy. Ma swoją skrzynkę z piaskiem i płacze jak dziecko, gdy drzwi są zamknięte i nie może się tam dostać. Z Baltazarem było trudniej, długo trwało, zanim nauczył się, gdzie stoi jego skrzyneczka. Fabian wiele razy musiał dać mu pstryczka w nos, wytargać za wąsy, ale w końcu kot też się nauczył. Tylko papugi za nic nie chcą się nauczyć. Wcale nie korzystają ze skrzyneczek, które Fabian im poustawiał, tylko wciąż robią byle gdzie, w tym Fabianowi na kapeluszu, i to akurat w chwili, kiedy ma wyjść z domu. Za to właśnie jest na nie zły i dlatego zwykle wchodzi do nich później niż do pozostałych swoich zwierząt. Krzyczy z daleka:

– Cicho być, małpy przekłete... Cisza!

Jak już ma wszystko zrobione przy Pudlu, bierze się za Baltazara. Baltazar stawia się. Jest wielki, ma grubą, lśniącą sierść, sterczące wąsy, a gdy staje na tylnych łapach, robi się trochę podobny do małpy. Jest już u Fabiana jakiś czas, ale ani myśli się podporządkować. Najbardziej nie cierpi codziennej toalety – jak tylko zobaczy Fabiana w poranniku i laczkach, spina się i pręży grzbiet, swymi zielonymi oczami wpatruje się wprost w oczy swego pana i stroszy wąsy.

Fabian staje na wprost Baltazara i też wbija w niego wzrok. Przez chwilę stoją nieruchomo. Naprężają mięśnie, ruszają wąsiskami i patrzą na siebie, przymierzając się – kto kogo? Trwa

to jakiś czas, Baltazar nie poddaje się, więc Fabian próbuje po dobroci. Podstawia mu ugiętą nogę, zapraszając kota, by wszedł na kolana i kiwając palcem, zachęca go:

– Baltazar... Baltazarku...

Fabian wie, że to nic nie daje, ale i tak go prosi, licząc, że może w końcu kiedyś się ugnie. Ale Baltazar coraz bardziej spręży się, sztywnieje, wyciąga przednią łapę, więc Fabian odsuwa się i woła do psa:

– Pudel, do roboty!

Pudel jak strzała przelatuje przez pokój, łapie Baltazara za puszysty ogon i wlecze go do Fabiana.

Ale to dopiero początek lekcji.

Poranną toaletę Fabian zaczyna od tego, że wbija się palcami głęboko, aż do skóry, w sierść kota i daje z dziesięć prztyczków w nos, pociąga za wąsy, pytając:

– I co Baltazarku, podoba się?

Potem bierze jakąś klamerkę i zakłada mu na ogon. Baltazar wpada w panikę. Klamerka zaciska mu się w połowie ogona. Kota piecze, jakby posadzili go na rozpalonej płycie kuchennej. Pyszczeniem próbuje sięgnąć klamerki, chce ją złapać, ale im szybciej kręci się, „goniąc” ją, tym szybciej ona mu ucieka. Kręci się w kółko, uganiając się za własnym ogonem. Tymczasem Fabian siedzi na krześle i patrzy na zegar. Gonitwa musi trwać pięć minut, więc obserwuje uważnie wskazówki. Ma być dokładnie pięć minut. Napuszcza przy tym Pudła na tańczącego kota, przygląda się biegającym w szaleńczej gonitwie zwierzętom, cmokając.

– Psst... psst... No szybciej, szybciej...

Lekcja kończy się, gdy Baltazar z własnym ogonem w zębach kładzie się w kącie pokoju. Wtedy Fabian idzie do kanarków.

Z klatek wyjmuje wanienki z brudną wodą, w której kanarki się kąpały i nalewa czystej. Nasypuje żółtego proszku, karmy na kolejny dzień, miotełką z piór oczyszcza klatki z nieczystości i wdaje się w rozmowę z młodym kanarkiem:

– No już mistrzu, fiu... fiu... Dzióbasku, fiu... fiu...

Kanarek zwany Dzióbaskiem jest jego ulubieńcem. Jakiś czas temu wśród kanarków Fabiana pojawiło się „czaplanie” zamiast śpiewu. Wśród pięknych treli jeden dostawał zadyszki, trochę jakby chciał kaszleć i wydawał z siebie kilkukrotne:

– Czap... czap... czap...

Zaniepokoiło to Fabiana, bo wiedział, że wśród kanarków jest jak u kobiet. Jeden śpiewa czysto, czysto śpiewają wszystkie. Jeden zaczyna „czaplać”, za chwilę wszystkie fałszują. Zgadał się z nocnym stróżem i ten przyniósł mu kanarka, prawdziwego śpiewaka, który mu ustawił cały chór. Fabian lubi go, podstawia mu palec, daje do dziobania paznokcie i mówi:

– Tiu... tiu... kapelmistrzu... tiu... tiu...

Pokój z kanarkami jest duży, ma cztery okna. Ze wszystkich stron wpadają różnobarwne promienie, dzieląc pokój na część czerwonawą, zielonkawą i żółtą. Z nisko sklepionego sufitu zwisa mnóstwo dużych talerzy, malowanych i metalowych, skąpanych w promieniach

wschodzącego słońca. Niewysokie, wyściełane meble, obciążone pstrokatymi włóczkowymi pokrowcami, mienia się wszystkimi kolorami, jakby bawiły się w chowanego. Na ścianie zakurzone jelenie rogi zaplątane w srebrną pajęczynę. Fabian rozsiada się na krześle, przygląda swoje zakręcone czarne wąsy rosnące pod zakrzywionym orlim nosem, zakłada szczupłe nogi tancerza jedna na drugą i rozkoszuje się, słuchając chóru kanarków.

Pogwizduje, unosi palec, dyryguje nim jak pałeczką dyrygenta i przytupuje do taktu:

– Tiu, tiu, tiu, tiuuu raz... Tiu, tiu, tiu, tiuuu dwa...

Jedne kanarki kiwają do niego dzióbkami, inne ogonkami i śpiewają, równo i czysto.

Pudel wciąż ugania się za kotem, zwinnie biega w kółko, starając się złapać pyskiem jego puszysty ogon. W innym pokoju wciąż zdzierają sobie gardła papugi, wrzeszcząc tak, że można ogłuchnąć:

– Panie Fabianie! Panie Fabianieeee!

II

W kawiarni Stanisławówka przy kościele Świętego Jana pomalowane na kremowo drzwi są na wpół otwarte.

Kelnerka w białym czepku zdejmuje krzesła ze stolików. Właścicielka, panna Małgosia we własnej osobie, stoi przed okrągłym lustrem i zawija sobie na gruby, biały palec rurkowate, jasne loki. Z pewnością siebie i uśmiechem zadowolenia spogląda na piersi wypełniające bluzkę tak, jakby za chwilę miała pęknąć. Podziwia swoją kocią, okrągłą twarz – od szyi po wysoką, lśniącą od brylantyny fryzurę ze sztywno ułożonymi puklami włosów.

Fabian Rajces wchodzi, wpuszczając przodem prowadzonego na smyczy Pudła.

Zauważywszy wdzięczącą się przed lustrem pannę Małgosię, cicho skrada się na palcach i od tyłu obejmuje jej grubą, ściśniętą gorsetem talię, mówiąc do rymu:

Mam cię ptaszeczku

w twoim gniazdeczku...

Panna Małgosia doskonale widziała w lustrze Fabiana i jego psa, ale zachowuje się, jakby nikogo nie zauważyła i krzyczy z udawanym strachem:

– Kto to, Matko Boska!?! Kto to?

Fabian muska cienkimi ustami i czubkiem zakrzywionego nosa jasne loki zwisające na jej gruby kark i cofa się. Zwinnie sunie na swych nogach tancerza przez całą kawiarnię, chowa się za ramię kelnerki i podnosząc palec, mówi błagalnym tonem:

– Ratuj, koteczku, ratuj...

Panna Małgosia, ciężko sapiąc, rusza ku niemu, trzęsąc pięcioma pudami ściśniętego ciała; wymachuje w jego stronę ściereczką:

– A to dziadzisko! A fe, babiarzu!

Fabian wczepia się jak wystraszony w kelnerkę. Obejmuje ją jak małe dziecko matkę i przechodzi do żartów:

Wypłoszyli ptaszeczka

z jego gniazdeczka.

Zapędzili lisiczkę

w ślepią uliczkę.

Dopiero teraz, gdy panna Małgosia odkłada ścierkę i poprawia sobie różowe podwiązki, które podczas biegu zsunęły się z grubych ud, siada Fabian przy swoim stoliku i stuka kościaną gałką od laski:

– Kawę! Kawę ze śmietanką!

Czekając aż mu podadzą, wyciąga monetę z portfela i wrzuca do zielonej grającej szafy. Maszyna zgrzytnęła kilka razy, jakby chciała odkaszlnąć przed śpiewem, i zaczyna grać mazurka. Z otworu na gzymsie wyłaniają się mosiężne figurki, poruszająca się para. Mosiężny górnik uchyla kapelusza i stuka obcasami, a jego mosiężna ciężarna wybranka unosi wielki brzuch i szczerzy zęby.

Fabian pstryka palcami, wystukuje rytm czubkami butów i tak tańcząc w miejscu, głośno podśpiewuje:

– Oj dana, dana, oj da-na...

Obok niego na krześle siedzi Pudel wpatrzony w oczy swego pana.

Fabian go strofuje.

Jak każdego dnia, tak i dziś postawił przed nim podstawek z kawałkami cukru. Pudel jednak nie poczekał, aż Fabian zacznie pić kawę, tylko od razu zjadł swoje. Mało tego: jadł głośno, chrzęszcząc tym cukrem, krzywił pysk i mrużył oczy, zupełnie jak robi to zgłodniały kundel, obgryzając kość. Rozzłoszczony Fabian wsadził mu dłoń po samo gardło, wyrzebał pogryzioną słodkość i dzielił smyczą:

– Wypluj natychmiast, parszywy kundlu... wyrzygaj...

Pudel trzepocze uszami, kręci nosem. Rozumie już, że się źle zachował, że nie powinien tak od razu tego zjeść. Czuje, że jego pan ma rację, całkowitą rację. Ale tego, kiedy przejdzie panu złość, to już jego psia głowa nie jest w stanie wymyślić. Mało tego: tuż przy nim leży ten pogryziony cukier, wilgotny, obśliniony, więc trudno mu się powstrzymać. Coraz bardziej opuszcza uszy na znak, że żałuje. Śledzi każdy ruch Fabiana, żeby wiedzieć, w którą część ciała ma się spodziewać klapsa i pokornie słucha połajają:

– Obedrę cię ze skóry, ty kudłaty diable!

– Oddam cię hyclowi, przekłeta małpo!

Pudel opuszcza głowę, drży jego miękki grzbiet, ale Fabian nic z tego sobie nie robi.

Dobrze widzi, że pannie Małgosi pod oczyma pojawiło się kilka czerwonych plam, ściągają się brwi, co oznacza, że zaraz zacznie płakać. Te plamy pojawiają się u niej za każdym razem, gdy on tylko ruszy Pudła. Jakby jej robił na złość – podnosi duży palec, daje Pudłowi prztyczka w nos i krzyczy:

– Spokój!... Spróbuj tylko mrugnąć okiem!

Panna Małgosia nie może już się powstrzymać. Podbiega do stolika Fabiana, wyciąga grube, miękkie ramiona do bitego psa i krzyczy ze łzami w oczach:

– Bandyta! Nienawidzę pana!

Fabian szybko obejmuje ją chudymi rękoma i sadza sobie cały ten ciężar na kolana. Chcąc nie chcąc panna Małgosia siedzi na kolanach Fabiana. Ściereczką wyciera sobie oczy i uśmiecha się radośnie do Pudła:

– Kochaniutki... Biedaczysko...

Fabian łaskocze ją swymi czarnymi wąsami po twarzy, wbija się palcami w jej miękkie ciało, a ona nie może oderwać wzroku od zielonego kamienia w sygnecie na jego małym palcu. Chwyta go za końcówki wąsów:

– Mógłbyś mi sprezentować ten pierścioneczek, Fabianku!

Fabian stroszy wąsy jak kocur i odpowiada, sapiąc:

– Jakbyś przyszła do mnie, ślicznotko... Jakbyś kiedyś wpadła...

*

Z góry, z zamkowej wieży, dobiega dziewięć metalicznych uderzeń wielkiego zegara. Fabian bierze Pudła na smycz i udaje się do swojego, zamkniętego jeszcze, antykwariatu na Starym Mieście, przy aptece.

Po drodze, przy mijanych kościołach, kłaniają mu się żebracy. Zatrzymuje się przy nich, wrzuca jakieś drobne do przepoconych kapeluszy i zachęca:

– Módlcie się, owieczki, módlcie się.

Za każdym razem, gdy Pudel próbuje obwąchiwać się z różnymi bezpańskimi psami, grozi mu palcem i przywołuje do porządku:

– Pudel! Bo będziesz spał z kotem! Rozumiesz?

Mijając kondukt pogrzebowy idący przez most na biedny cmentarzyk, zawsze zdejmuje z głowy brązowy, sztywny kapelusz. Odpowiada „dzień dobry” wszystkim, którzy mu się kłaniają.

Przed antykwariatem czeka już na niego pracownik, trzymający pod pachą malarską kasetę na farby niemłody już mężczyzna, goj w pelerynie. Czekając, ucina sobie pogawędkę z kasjerką z apteki, dziewczyną z długą, zimną twarzą. Fabian w pierwszej kolejności wita się z kasjerką. Całuje jej chłodną, pachnącą lekarstwami dłoń i mówi do rymu:

– Szacuneczek

cały woreczek.

Następnie wyciąga rękę do pracownika i wita go żartobliwie:

– Panie Leonardo

miętko czy twardo?

Człowiek w pelerynie czerwienieje po czubki uszu. Jest malarzem, kiedyś nawet dostał medal, a co do nazwiska, to ma prawdziwie szlacheckie: Stanisław Zaręba. Ale Fabian nigdy się tak do niego nie zwraca. Używa wymyślonych imion, a na dodatek rymuje. Używa imienia Leonardo, od Leonarda da Vinci, ale też kpi sobie z jego sztuki. Często woła do niego:

– Panie Staszu

mistrzu na krzywym poddaszu!

Zaręba złości się najbardziej, gdy Fabian mówi tak w obecności kasjerki z apteki. Wyciągnięta ręka Fabiana zawisa w powietrzu.

– Za to, panie szefie, nie płaci mi pan.

Fabian daje mu do potrzymania psa na smyczy, a sam otwiera antykwariat i obaj, milcząc, wchodzą do środka.

Antykwariusz Fabian Rajces i pracujący u niego malarz Stanisław Zaręba nie żyją ze sobą dobrze. Kiedyś byli przyjaciółmi, nawet dobrymi przyjaciółmi. Ale to było dawno. Byli jeszcze młodzi, mieszkali razem w mieszkaniu na poddaszu w Krakowie, całymi dniami kopiowali klasyczne obrazy i sądzili, że wybiją się i zostaną znanymi malarzami. Stanisław Zaręba uważa się do dziś za wielkiego artystę. Nie patrząc na to, że jest już człowiekiem po pięćdziesiątce i że zajmuje się konserwacją obrazów w antykwariacie Fabiana Rajcesa, wciąż jest przekonany, że stworzy jeszcze coś takiego, czym zadziwi cały świat. Fabian śmieje się z tego. Nie wierzy ani w siebie, ani w Zarębę, łaskocze go po wypiętym brzuchu, zmrużywszy oczy:

– Ej, Stasiu, Stasiu...

Zaręba odpowiada nie od razu. Odsuwa się, nie pozwala na zbytnią poufałość. Podkręca wielkie, szlacheckie wąsy, dając znać, kim on jest. W głębi duszy wie, że Fabian też, gdyby tylko chciał, mógłby namalować coś porządnego, ale mimo to stawia się, jako artysta, w opozycji do Fabiana-handlarza. Mówi, cedząc słowa:

– Za to mi pan nie płaci, panie Rajces.

Nazwisko „Rajces” wymawia przeciągle z przesadnie gardłowym „er”.

*

Fabian stoi na antresoli w magazynie i szczerze zasłania dywanem skrzydło weneckiego okna. Sprawdza, czy szyby są dobrze zakryte, tak żeby nic nie było widać z okien stojących naprzeciw budynków, i uprzejmie zwraca się do Zaręby:

– Stasiu, tam jest wata... zapchaj szpary w drzwiach.

Ale Stasiu nie rusza się z miejsca.

Zawsze tak jest. Zaręba wie, że jak Fabian tak dokładnie zasłania drzwi i okna na antresoli, to ma dla niego uszykowaną paskudną robotę – jakiś cenny obraz do sfalszowania – nie odpowiada nic Fabianowi tylko bierze się za przygotowanie pędzli i terpentyny. Fabian złazi z okna i sam zasłania drzwi. Rozkłada na podłodze pomięte, sztywne płótno, przypatruje się fachowo wykonanym przez siebie plamom i zagnieceniom, i kiwa ku Zarębie, unosząc końcówkę swego zakręconego wąsa:

– Dobra robota, co? Prawdziwa klasyka, Stasiu, co?

Fabian jest zadowolony z tego, co zrobił. Napracował się przy tym płótnie, zanim wyszło z niego coś nadającego się na starą klasykę. Nasączał to różnymi kwasami, smarował woskiem, wcierał terpentynę i wyszło jak należy. Przygląda wąsy pod zakrzywionym nosem – sam diabeł by się nie połapał, że to jest „przepracowane”. Wystawia buteleczki różnej wielkości i koloru, wyklada pędzle – duże i małe, grube i cienkie, niektóre nawet tak delikatne jak piórko. Otwiera słoiczki z terpentyną i lakierem, kładzie kawałki wosku, daje łój i werniks. Nie przestaje się przy tym uśmiechać do Zaręby:

– Cóż za jasny dzień, Stasiu, sam Bóg każe dziś kopiować.

Zaręba podnosi wzrok na Fabiana i rzuca pędzel na podłogę.

Pierwszy raz, gdy Fabian zaproponował mu, żeby poza odnawianiem obrazów także je kopiował, rzucił kasetką z farbami, piniąc się ze złości:

– Fabianku – krzyczał – Zaręba czegoś takiego nie zrobi! Honor mu na to nie pozwala!

Fabian trochę się wystraszył, zapachniało znajdującym się niedaleko komisariatem policji. Krzywo się uśmiechnął, uznał, że trzeba trochę przemyśleć sprawę. Nie minęło wiele czasu, gdy stanął przed Zarębą i przez kilka sekund wpatrywał się w niego swym ostrym wzrokiem, zupełnie tak, jak patrzy na Baltazara. Zaręba nie wytrzymał tego spojrzenia, zmieszany stał wpatrzony w podłogę, nie bardzo wiedząc, co począć z rękoma. Fabian odzyskał pewność siebie i powiedział z uśmiechem:

– Jutro przyjdź Stasiu wcześniej, bo po południu nie będzie słońca.

Nazajutrz Zaręba przyszedł tak, jak kazał Fabian, z samego rana.

Zaręba wie, że znów będzie to robił. Ponuro obserwuje każdy ruch Fabiana, widzi przenikliwe spojrzenie jego czarnych oczu, jego śmiesznie zakręcone wąsy. Spogląda na rzucony na podłogę pędzel i cedzi przez zaciśnięte zęby:

– Żyd... Przeklęty Żyd...

Fabian patrzy mu prosto w twarz i uśmiecha się, co wygląda tak, jakby jego własny zakrzywiony nos miał zaraz wpaść do ust, i mówi spokojnie:

– Rozluźnij się Stasiu... Dziś robimy Rubensa, oryginalnego Rubensa. A Rubens był człowiekiem z poczuciem humoru. Z bardzo dobrym poczuciem humoru.

III

Fabian siedzi przy oknie w antykwariacie. Przez rurkę rozdmuchuje ogień i uważnie obserwuje zarówno odrobinę roztopionego złota rozplywającego się w tygielku, jak i tańczący mu przed oczyma niebieskawy płomień. W fotelu obok, na tylnych łapach, siedzi wystraszony Pudel. Obserwuje ogień i bez przerwy psika.

Fabian ma taką naturę, że wszystko lubi zrobić sam, samemu naszykować, samemu naprawić. Szczególnie lubi prace złotnicze. Z przyjemnością przygląda się, jak złoto roztapia się, burzy, rozplywa i musi się tak ukształtować, jak on chce. Dmuchając przez rurkę, robi różne sztuczki z ogniem, bawi się trochę jak chłopcy puszcający przez słomkę mydlane bańki.

A to delikatnie dmucha, rozciągając płomień kuliście, jak tęczę, to znów dmie silniej, by z tęczy zrobiła się pochodnia. Wydaje mu się, że ogień tkwi gdzieś w jego wnętrzu, a on wydychuje go z siebie, jak tylko chce: jak chce połknąć – połyka, jak chce wypluć – wypluwa. Zawsze, kiedy uszkodzi się jakiś stary przedmiot, zerwie się łańcuszek czy złamie breloczek, Fabian zbiera kawałeczki nieprzydatnego, pokruszonego złota i przetapia. Pudel boi się ognia, mruży oczy i nieustannie psika. Nie cierpi zapachu mleka i roztopionego złota. Drażni to jego nozdrza i wywołuje bulgotanie w żołądku.

– Brrr... brrrrr...

– Cierp, Pudel, cierp! Dla złota trzeba cierpieć, to szlachetny materiał.

Pudel, przysłuchując się temu, co mówi jego pan, macha puszystym ogonem. Nagle otwierają się drzwi i dzwoni zawieszony na nich dzwoneczek. Pudel zeskakuje ze swego miejsca i zaczyna przeraźliwie szczeakać. To przyszedł ksiądz Gęsty, rektor znajdującego się w sąsiedztwie seminarium duchownego. Gęsty wpada tu często w poszukiwaniu antyków. Pudel zna go właściwie bardzo dobrze, ale nie znosi księżowskiej długiej sutanny, więc

szczęka na niego tak, jak na przychodzących na podwórze żydowskich handlarzy. Fabian złości się na Pudła, łapie go za ucho i karci:

– Cicho, bezbożniku, trochę szacunku dla osoby duchownej!

Ksiądz Gęsty podciąga sutannę, żeby pies jej nie złapał zębami, i zwraca się do Fabiana:

– Jaki pan, taki kram.

Fabian krzywo się uśmiecha, co znaczy, że coś mu przyszło do głowy, wpadł na doskonały pomysł. Prosi księdza, by usiadł na fotelu przy stoliku, a sam bierze miotełkę z indyjskich piór, wkłada na głowę coś w rodzaju holenderskiej czapeczki czy jarmułki, aby nie zakurzyć sobie włosów i bierze się za omiatanie antyków z kurzu. Mimochodem rzuca w stronę Gęstego:

– Wie chociaż ksiądz profesor, czyj to fotel, ten, na którym ksiądz siedzi?

Ksiądz Gęsty wstaje z miejsca i rozgląda się.

Jest jeszcze dość młody, ale skórę ma już nieco zwiotczałą, jak większość tych, którzy zajmują się teologią. Ma wielkie, świecące oczy, spojrzenie trochę naiwne. Lubi starocie, ma całą kolekcję tabakierek, bursztyków i świętych relikwii. Jest pełen dumy, gdy ma okazję opowiadać swoim młodym seminarzystom o starożytnościach – na czym to on nie siedział, po czym to on nie stapał. Teraz patrzy swymi świecącymi oczami na obdrapany i poszarpany fotel. Przygląda się obdartemu siedzeniu, z którego wyłazi końskie włosie i morska trawa. Patrzy to na fotel, to na Fabiana i pyta niecierpliwie:

– A co? Po kim? Czyje to?

– Jak to czyje? Pudła. Specjalnie dla Pudła.

Ksiądz Gęsty oburza się. Na takie kawały nie ma ochoty. Czerwienieje na policzkach, oczy otwierają mu się jeszcze szerzej, łysina pokrywa potem. Prostuje się i już ma ostro zareagować, gdy Fabian, odkurzając miotełką nos jakiegoś chińskiego bożka, mówi:

– Proszę spojrzeć, księżo profesorze, na tył sutanny. Pudel narobił może na siedzenie fotela.

Po chwili złość mija. Ksiądz Gęsty kręci się po antykwariacie, przekopuje się przez zakurzone książki, obrazki i nuty.

– Fabianie! – krzyczy. – Ten łaciński kodeks to pierwsze, czy drugie wydanie?

Fabian z miotełką w ręku stoi na drabince i odkrzykuje:

– Pierwsze, kochany, pierwsze.

Ksiądz Gęstego zadowala to, jest szczęśliwy.

W antykwariacie panuje ciasnota. Kulawe fotele w najróżniejszych stylach i kolorach stłoczone razem z wyszywanymi perskimi, chińskimi i japońskimi kobiercami. Kandelabry z potłuczonymi szkiełkami i powyginanymi ramionami leżą razem z resztkami czerepów, kości i archeologicznych glinianych skorup. Majolikowe koty i tygrysy, marmurowe figurki Wenus razem z brodatymi apostołami i kapucynami. Posążki Buddy z kości słoniowej walają się u stóp małych i satyrów z brązu. Drewniane krucyfiksy upchnięte razem ze starymi skrzypcami i niecenzuralnymi wydaniem Boccaccia.

Gęsty szuka czegoś, grzebiąc w tym wszystkim. Dosięga przenikliwym wzrokiem wszędzie, mimo kurzu, mimo pajęczyn, i czyta. Czyta daty i tytuły, łacińskie modlitewniki i greckie

tragedie, hebrajskie zwoje i aramejskie rękopisy. Potem przechodzi do drobiazgów, do różnych muszelek, kawałków bursztynu, krzemieni, odłupanych kawałków posągów znanych postaci. Wstrzymuje oddech, robi się coraz bardziej skupiony i spięty.

Stoi teraz przed wyzwaniem: Do głębokiej kieszeni z tyłu sutanny musi coś włożyć. Jeden drobiazg, tysięczną część z leżących tu nieprzebranych ilości drobiazgów, ale czuje, jak pot pokrywa mu łysinę.

Jak to